Opłata uiszczona gotówką

Nr. 4 (27) Rok IV.

MŁODY KRAJOZNAWCA ŚLĄSKI

CENA POJEDYŃCZEGO EGZ. 20 GR.

SPIS RZECZY

SKRZYNKA REDAKCYJNA

Kol. Iwanówna Teresa w Knurowie— artykuł umieścimy w późniejszym numerze.

P. Danielczykówna w Suszcu — artykuł umieścimy w następnym numerze.

Koło Kraj. Państw. Gimnazjum w Rybniku — Za nadesłane artykuły bardzo dziękujemy i prosimy o dalsze. Przysłowia nadesłane przez kol. Zuzoka drukowaliśmy już w „Mł. Kraj. Śl." w numerze 21 z czerwca ub. r.

MŁODY KRAJOZNAWCA ŚLĄSKI

Wychodzi co miesiąc

Pisemko Szkolnych Kół Krajoznawczych Śląskich

Nr. 4. (27) MAJ 1937. Rok IV

TEODOR GOŁĄBEK
Państw. Gimn. w Rybniku.

Zielone Świątki na Śląsku

Po świętach Bożego Narodzenia i Wielkanocy obchodzimy najuroczyściej święto Zesłania Ducha Świętego, czyli Zielone Świątki. Wszystkie zwyczaje i obrzędy praktykowane w okresie świąt tych, noszą piętno radości i wesela. Kościoły, domy, podwórka ozdabia się drzewkami brzozy i jesionu, które zatyka się również przy ołtarzach, przy gankach i wrotach. Okna stroją wieśniacy pachnącym tatarakiem, a także zaścielają nim podłogi w izbach i dojściach do chat. Majowy zapach zieleni rozchodzi się po kościołach, chatach i obejściach. Na święta te przygotowuje się pieczywo, przypominające wielkanocne, choć mniej obfite. Niejedna gospodyni usiłuje przechować do świątek treściwą babę lub kilka nazurków ze „święconego", szczycąc się wyborem ciasta, które pomimo 50-dniowego istnienia, nie straciło na smaku i świeżości. Zielone Święta przypadają na najpiękniejszy czas wiosny, gdy pogoda jest już ustalona, a natura w bujnym rozkwicie.

SOBÓTKI.

W mojej wsi Wielopolu pod Rybnikiem, zachował się częściowo jeszcze zwyczaj palenia sobótek w obydwa dni Zielonych Świąt. Do obchodu sobótek robią już wcześniej pewne przygotowania. I tak przez cały rok składają w suchym miejscu zużyte miotły „skrobaki", a w wigilię świątek przybijają je do żerdzi, tak samo jak zczerniałe snopki „skopciałki", wyrywane ze starych strzech. Prócz tego robią pochodnie zwane „sobótkami", przybijając do tyki wiązki słomy długości całego źdźbła, które okręcają szmatą i oblewają żywicą świerkową. Z tykami i żerdziami tymi wychodzą na pole, gdzie rozpalają ogniska z suchych gałęzi choiny i jałowca. Przy śpiewie i wrzawie, młodzież skacze przez ogień, tańcząc w koło ogniska. Dziewczyna, która z miejsca obiema nogami przeskoczy ogień, wyjdzie zamąż w tym roku. Od ogniska zapalają chłopcy, przygotowane „skrobaki", „skopciałki" i sobótki" i biegają z płonącymi pochodniami w pierwsze święto „opalając" pola żyta, w drugie święto zaś pola innych zbóż, podskakując przy tym i podrzucając pochodnie w górę. Obrzęd ten nazywa się opalaniem zboża i ma wpłynąć na dojrzewanie zboża i przyśpieszenie twardnienia

ziarna. Na rzece Rudzie obchodzi ludność sobótki wraz z innymi obrzędami, związanymi z wigilią świętego Jana Chrzciciela. Przez cały ten dzień robi się wianki, umieszczone na małej deseczce, a w środku na gwoździu umieszczają się świeczkę. Wianki te wiąże się na długim sznurze i umocowuje się je do łódki, która wyjeżdża wieczorem na staw. Łódek takich jest dużo i bardzo ładnie wygląda staw z takimi łódkami. Niekiedy kupuje się lampiony, które przymocowane do łódki na długich żerdziach świecą. Puszcza się też rakiety, które po wybuchu, w powietrzu zapalają się różnymi kolorami.

Wielopole, dnia 8 kwietnia 1937 r.

JÓZEF OŚLIZLOK
Państw. Gimnazjum w Rybniku.

Zwyczaje majowe na Śląsku

Z przełomowym miesiącem majem łączy nasz lud wiejski wiele zwyczajów, które razem z innymi, najlepiej świadczą o bogactwie kultury wiejskiej, a wartość posiadają tym cenniejszą, że są wyrazem tego, na co lud polski potrafił się sam zdobyć.

Ludność wiejska na Śląsku była zawsze bardzo religijna, zaś do osoby Matki Boskiej z szczególną odnosi się czcią, to też na majówki, (nabożeństwa majowe), jakie są urządzane w tym miesiącu codziennie na jej cześć, uczęszcza bardzo licznie. Majówki te urządzane są najczęściej na łonie przyrody, a jeśli się do tego zważy, że odbywają się one przy świetle księżyca i poświecanych przy ołtarzu świec, to zrozumiemy jak blado w porównaniu z nimi, wyjdą nasze miejskie majówki urządzane w kościołach, gdzie świece są zastąpione przez żarówki elektryczne, cały zaś las przez kilka drzewek.

Pierwszego maja wieczorem lub drugiego, wczesnym rankiem, można zauważyć pięknie przystrojone drzewka na oknach lub przy drzwiach domów, umieszczone tutaj przez młodzież, a przeznaczone dla swych wybranek. Można również zobaczyć, oczywiście trochę później, niektóre z tych drzewek umieszczone na gnoju, co ma oznaczać, że dziewczyna odrzuca ofiarowany jej dar. Ten to zwyczaj nosi nazwę „Moika".

Wiele również zwyczajów łączy się z tym, że z końcem kwietnia i w maju rozpoczynają się prace rolnika w polu. I tak w celu dowiedzenia się, czy pora nadaje się już do prac w polu, rolnicy wkładają do gnoju gałązkę brzozy i gdy ta rozwinie się dostatecznie w przeciągu kilku dni, uważają oni, że już czas, by ruszać w pole. Przy wywożeniu gnoju, święcą gnój wodą święconą, by plony były jak najobfitsze. Rolnik, powracający po raz pierwszy z pola, bywa często oblewany wodą, na znak, by odtąd wcześnie wstawał i raźno ruszał do pracy w polu. Pasterce, wypędzającej po raz pierwszy bydło w pole, daje się kilka ugotowanych jaj, którymi ona suwa po skrajach łąki, na której zwykle pasie bydło, po czym zjada je, pozostałości wkładając do kretowin. Jaja daje jej się po to, aby z uciechą pasała bydło, pozostałości zaś z jaj są

wkładane do kretowin, aby krety nie niszczyły pastwiska wykopywaniem kopców.

Na miesiące maj, czerwiec i lipiec przypada z zasady najwięcej burz, a w związku z nimi i grzmotów. Wieśniacy starają się odpędzić owe grzmoty i w tym celu wchodzą na szczyt domu i robiąc znak krzyża świętego w kierunku grzmotu, modlą się nabożnie. Do tego samego celu służą osobne dzwonki, którymi w czasie burzy, dzwonią i modląc się obchodzą dookoła dom.

Wszystkie te i inne zwyczaje są już niestety w zaniku, bowiem bardzo często ludność wsi wprost ich się wstydzi, nieświadoma, że te właśnie zwyczaje są podstawą rozwoju naszej przebogatej kultury narodo- . . Diatego wszyscy powinniśmy dążyć do zachowania wiejskiej kultury, której owe zwyczaje są częścią: nie tylko do zachowania — **powinniśmy nawet dążyć do spotęgowania jej twórczych pierwiastków** tam, gdzie to jest możliwe.

C. M. BĘDZWAŁEK

Słowiańska osada bagienna w Biskupinie

(ciąg dalszy)

Te drewniane „mury" obronne budowane były z układanych na sobie okrągłych belek, tworzących jakby rząd skrzyń. Dla lepszego związania z sobą zaopatrywane były belki w nacięcia na skrzyżowaniach. Na zewnątrz cała ściana muru podparta była potężnymi słupami, pionowo wbitymi w ziemię.

W czasie rozkopywań stwierdzono, że takie drewniane wały obronne budowano trzykrotnie. Najstarszy z tych wałów, najdalej wysunięty na północ, uległ zniszczeniu przez fale jeziora i zachowały się z niego tylko same podwaliny. Po jego zniszczeniu zbudowano nowy wał, odsunięty od brzegu, około 2.50 m szeroki, który na znacznej przestrzeni uległ zniszczeniu przez pożar, jak na to wskazują zwęglone belki. Został on następnie zastąpiony trzecim wałem, nieco węższym, najlepiej do dziś zachowanym. Dla ochrony brzegu przed falami i dla uniknięcia katastrofy podmycia wału, wzmocniono brzeg wbijanymi pionowo w dno jeziora belkami, które miały za zadanie powstrzymywać na sobie napór fal wzburzonego jeziora. Ten falochron tworzy w niektórych miejscach — a przede wszystkim w północnej stronie półwyspu, gdzie napór wód musiał być najsilniejszy — bardzo szerokie pasmo, złożone z 11 rzędów pali.

Bardzo pomysłowy jest sposób budowy tego falochronu, — podobnie jak i zdziwienie w nas musiał budzić sposób budowy wejść do chat, które były zbudowane tak, jakby naszym przodkom była już znana zasada załamywania się promieni świetnych, tak tutaj znowu natrafiamy na znajomość załamywania się fal morskich, która to znajomość w sposób zapewnie intuicyjny, czy na podstawie długich doświadczeń, odkryta, została zastosowana przy budowie falochronu. Słupy, na jakie najpierw natrafiała fala, biegnąca od jeziora w stronę półwyspu były węż-

sze od następnych, głębiej wbitych w ziemię, tworząc przez to rodzaj zagłębienia wraz z wznoszącymi się stopniowo coraz wyżej słupami, przylegającymi do brzegu. Fala biegnąca, wpadając w to zagłębienie i natrafiając na opór ze strony wysokich pali przybrzeżnych, załamywała się, tracąc wiele na swej sile i odpływała z powrotem, nie wyrządzając szkód.

Nie cały falochron zbudowano naraz. Najstarszą jego część reprezentują dwa rzędy pali znacznie niższych od reszty, oddzielonych od nich wolną przestrzenią. Najwidoczniej niski pierwotnie łamacz fal podwyższono i podniesiono na skutek podniesienia się ogólnego poziomu jeziora.

Teraz będę musiał omówić, opierając się na podstawie wykopalisk i wniosków, jakie się łączne z nimi nasuwają, jakie były losy tej prasłowiańskiej osady w Biskupinie. Wobec gęstego zabudowania osady i stykania się domów szczytami, wybuchające tu pożary musiały szerzyć straszne spustoszenia. Ślady takich pożarów widzimy w wielu chatach, a także w środkowym wale ochronnym. Po pożarze odbudowywano dom na tym samym miejscu, nie usuwając całkowicie szczątków dawnych ścian i podłóg. W niektórych miejscach można zobaczyć obok siebie podwójne odrzwia, słupy naróżne i łątki śródścienne, pochodzące z dwóch różnych domów, zbudowanych kolejno po sobie na tym samym miejscu, a nieraz widzi się nawet szczątki trzech chat ponad sobą. Jeszcze groźniejszym jednak żywiołem, zagrażającym ciągle mieszkańcom były wzbierające wody jeziora. Obok krótkotrwałych powodzi wiosennych, zalewających czasowo osiedle lub przynajmniej powodujących przeciekanie od dołu wody gruntowej, można sądzić, że poziom wód jeziora w ciągu trwania osadnictwa ciągle wzrastał. Dowodem tego stałego podnoszenia się wody w jeziorze są podwyższone podłogi wielu chat, szczególnie w niżej położonej północnej części półwyspu. Widzimy tu często dwie podłogi ponad sobą, oddzielone warstwą ziemi od 30 do 50 cm, oraz po dwa ogniska ponad sobą, a tak samo spotykamy tu podwójne nawierzchnie drewniane na drogach. Z reguły przy tym zarówno w domach jak i ulicach warstwa dolna zbudowana jest solidnie z grubych bali dębowych, warstwa górna zaś ułożona jest mniej starannie, jak gdyby w pośpiechu, zazwyczaj z ciężkich drągów brzozowych.

Dowodem dalszym tego zalewu, który zmuszał mieszkańców do podwyższania podłóg chat i poziomu ulic, jest rozmyty przez wodę najstarszy wał obronny, o czym wspomniałem na początku tego artykułu. Wszystkie te zabiegi nie pomogły widocznie jednak, bo wobec stałego wzrostu poziomu wody w jeziorze trzeba było wkońcu zdecydować się na opuszczenie osady. Widocznym jest, że kiedy zakładano osadę, poziom wody w jeziorze musiał być znacznie niższy, niż obecnie, chociaż z drugiej strony teraźniejsza powierzchnia jeziora jest znacznie niższa niż była przed paru jeszcze laty, opadła bowiem w związku z pogłębieniem koryta Gąsawki, przepływającej jezioro, oraz z powodu kilkuletniej suszy. Dalszym dowodem, że dawniej niższy był poziom jeziora jest fakt, że ogniska licznych chat w dolnej części półwyspu znajdują się nawet obecnie poniżej poziomu wody gruntowej, a ostatni rząd domów przy północno - zachodnim brzegu półwyspu, wraz z częścią wałów obronnych i falochronem spoczywał pod wodą jeziora i mógł być zbadany dopiero po odgrodzeniu tej części

jeziora zaporą nieprzepuszczalną. Jak dalece zaś poziom jeziora wzrósł pod koniec istnienia osady widać stąd, że osada została zamulona warstwą szlamu jeziorowego dochodzącą do 1 m grubości. Tak daleko, jak sięgała woda pokrywająca dolne części chat i wałów, oraz drogi, tak też zakonserwowały się w wilgotnym gruncie części budowli. Reszta natomiast, wystająca ponad wodę i ponad naniesiony piasek i szlam, narażona na wpływy atmosferyczne, uległa zniszczeniu. Katastrofa, która wypędziła naszych przodków z półwyspu stała się więc dobrodziejstwem dla nauki, podobnie jak wybuch Wezewiusza, który zniszczył Pompeę i Herculanum.

Cóż można powiedzieć o ustroju społecznym, panującym wśród mieszkańców grodu biskupińskiego? — Niezwykle planowe założenie osiedla, zbudowanego według jednej myśli przewodniej, wyglądające nieledwie tak, jakgdyby obmyślił je nowoczesny urbanista, dalej te potężne umocnienia brzegu i potrójne wały obronne, wzniesione wspólnym, karnym, wysiłkiem, wskazują na istnienie silnej władzy naczelnej, która umiała sobie zapewnić posłuch bezwzględny. Można też wnioskować, że domy, ich urządzenia i inwentarz żywy, były własnością indywidualną mieszkańców, już dawno wyłączoną ze wspólnego władania. Na to samo wskazuje też istniejący w osadzie wyraźny podział pracy w postaci różnych rodzajów wykwalifikowanych rzemieślników - specjalistów (o czym mówiłem już w I-szym artykule). Zaznaczały się też prawdopodobnie pewne różnice majątkowe wśród ludności osady, chociaż nie mogły one być zbyt duże, jak wynika chociażby z prawie zupełnie równych wymiarów domów, z których żaden dotąd nie wyróżnia się szczególnie dużymi rozmiarami. Istnienie zabawek dziecięcych, jak: grzechotki, figurki ptaszków, gwizdawki i małe naczyńka, świadczą o miłości, z jaką odnoszono się do dzieci. O wierzeniach religijnych na podstawie tego, co dotychczas znaleziono przy pracach wykopaliskowych nie można nic pewnego, ani nawet przypuszczalnego powiedzieć, gdyż brak do tego wszelkich źródeł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POTEMPA.

Z wędrówki po psarskim Grójcu i jego okolicach

Jako — już się oblekosz? Czyśmy już na miejscu? No — no — bierpłaszcz i oblekej sie — koferki narychtuj, bo do Kalet niedaleko, fabrykom już cuć. Jako — o fabryce godosz? Czyby tu w tym cichym lesie mogły jakie fabryki być? Ach widzisz Francku! Dyć zech ci jeszcze dotychczas nic nie opowiedzioł o fabrykach kaleckich. Ale czekej — zaraz ich som będziesz widzieć, własnymi oczami, bo leżom blank przy kolei. Koło nich jeszcze srogo piła. Mosz prawie Jonku! Bo coś tak głupie cuć. Dyć Francku! Ten paskudny smród z tej laugi, co we fabryce potrzebujom do wyrobu roztomaitego papieru, grubszego, cieńszego, no rozmaitego. No! doczkej

— doczkej zaroz bydziesz widzioł — już my bez Małąpanew przejechali. — Widzisz — widzisz już dojeżdżomy. Sam — to ta nowo fabryka, zaś tam, to staro fabryka. Haniuk obok tam, to piła, coch ci to padoł. No Jonku, to wcale nie mała fabryka. — — Ale tego drzewa wiela tu leży? To drzewo Froncku, to bydzie rżniynte na trzochy, potym w laugach warzone i coś więcej, dokładnie ci jednak nie moga pedzieć, jak się to robi, boch tam sóm nie robiół. Jak by cie to jednak interesować miało, jak sie papier robi, to ci u nos w domu opowiedzieć mogom. Gotów już? bo zaroz wysiadomy. Ach w moich rodzinnych stronach, wykrzyknął Janek, wszystko jest jeszcze jak było. Pódź uwijej się. — Pociąg stanął. Pomiędzy wysiadającymi, których naogół niezbyt dużo było, kroczyło obok siebie dwóch szczupłych młodzieńców, przyzwoicie ubranych. Na pierwszy rzut oka zaraz po nich można było poznać, że jednemu z nich okolica znana była dobrze, bo orientował się szybko na dworcu. Ten drugi zaś napewno po raz pierwszy zwiedzał te strony. Nie długo jednak bawili na dworcu i zaraz ruszyli w dalszą drogę. Francek, który faktycznie poraz pierwszy zwiedzał ową okolicę, stawiał Jankowi przez drogę, mnóstwo pytań, na które mu Janek chętnie i z całym zapałem i dumą odpowiadał, i objaśniał szczegółowo każdą sprawę, każdą drogę, gdzie która z nich prowadzi. Przez cały czas podziwiał Francek las, przez który prawie już przez pół godziny szli, a który mu się wydawał przecudnym i nieskończonym. — Ach! Jonku — Dużoś mi jednak opowiadał o tej naszej ojczyźnie i o twoich rodzinnych stronach. Ale jedno to ci powiem, że słowami twymi nie mogłeś mi jednak tego tak pięknie opowiedzieć, jak to jednak som widza. Już sóm dworzec mi sie bardzo podobo. I ci ludzie widać tu blank inksi som, jak tom w Niemczech. — Bo widzisz — żoden nos tu nie zno, a jednak nos tu już tela razy drogom pozdrowieli. Przede wszystkim podobało mi sie tych dwuch chłopców, korzy nos tak starym zwyczajem pozdrowili. Wierz mi jeszcze teraz słysza dźwięk tych słów, „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! „Nie! tego Jonku nigdy nie zapomna! No Francku - jeszcze tu niejedno bydziesz podziwioł — odpowiada mu Janek. Dobre ćwierć drogi dopiero momy za sobom Francku. Teraz skręcymy na lewo na ta główna szosa, która prowadzi z Królewskiej Huty do Lublińca. Może nom sie też jako furmanka trefi, któraby nos zabrała. A — doczkej! Jedzie tam ktoś za nami. Może go też byda jeszcze znać. Wto wie? Czekej ino. — Gdy ich furmanka dojechała odezwał sie Janek radośnie: A toż to Bartnicki Mikołaj. Ot Mikołaju! Skąd to jedziecie? Zabiercie nos, bo napewno jedziecie ku chałupie! Na toć ku chałupie! — na to stary — i konie zatrzymał. No siodejcie — Popatrzył na nich trochę i pyta się ich — a coście to za jacy? Dokąd to chcecie? — Do Babinic gospodarzu! — Co do Babinic? Kogóż tam mocie? Krewnych czy znajomych? Bo jo też z Babinic, i znomy sie prawie jeden z drugim na wsi — odrzekł im wolnym głosem starzec. Jo — odrzekł zaś Jonek, jada do dom do ojców, a on — pokazuje na Franka — jedzie ze mnom. Jako do ojców? — Czyj żeś to jest? — Hanuloka Bartka! — O Jezusie! znomy sie dobrze z nim. Mieszko on za kapliczkom. — A toś to ty? coś to tyla lot we świecie był? — pyta go starzec. Ano dyć byłech — odpowiada Janek — aże ośm lat. No i jeszcze bych może nie wrócił, ale wiecie mi sie już tam nic nie podobało w tych pierońskich Niemcach. Robił ech tam na grubie cały czos. A z nim wiecie — pokazuje na kolegę swego — toch sie nojlepi kolegowoł no i robili my tyż razem.

Ale jakech ta robota strzelił, to też i zaroz Franek postanowioł ze mnom jechać. On wicie Mikołaju —

ciągnął dalej Janek — Polska bardzo mało zno, choć sie w Polsce urodzioł. Ale czekejcie Mikołaju, bo jak my sie tak szykownie trefieli, a żeście nos zabrali, to kropnemy sie po jednym i zwracając sie do Franka mówi: dej tam ino ta flaszka z tego kufra. W czasie tym gdy sie naprawdę napiil, i cygara zapalili, minęli wieś Piasek i dojeżdżali do zakrętu, gdzie po prawej stronie stoi ładny dwupiętrowy gmach. Naprawdę ładny, z czerwonych cegieł, z wysokimi oknami i ładnym dachem, pokrytym czerwonymi dachówkami. Nic dziwnego, że na widok ten z podziwem chwytając starca Janek woła: „Mikołaju! powiedzcieżmi co to za willa? Ej, to szkoła polsko, synku — odpowiada starzec dumnie. A czy jej jeszcze nie było w tyn czos, gdyś odjeżdżał? Bo szkoła ta stoi już dość pora lot. Co już dość pora lot? — ze zdziwieniem pyta sie Franek — dyć wygląda ona jak nowo. Hm — na to starzec — co na wsi to nie w mieście, kaj kominów tela, że ich bieda porachować, a z których sie smyndzi jak z piekła. Ale słuchej Jonku, — ciągnął dalej starzec — czemuście sie nie wzięli biletów aż do Psor. Jako nie rozumiem wos Mikołaju — odparł szybko Jonek Do Psor bilety my mieli wziąć? Ha, a jakże — mówi starzec — czy ty nie wiesz o tym Jonku, że tu momy nowo kolej? „Co prawie, była już planowana za Niemca. Ale plan jest planem. — Dopiero sie teraz za Polski do niej wzięli i jom wybudowali. Leci ona z Kalet, bez Trzebin: Psory, Lubszo, aż do samych Woźnik, tak że już teraz wszystkie wsi som powiązane z kolejom, i żodem nie musi tyrać dwie godziny i wiyncyj na cug, jak to downi było. Doczkejcie! Dali za zakrentem sami jom bydziecie widzieć. Ale to nie wszystko jeszcze co zrobione zostało zacem ciebie nie było. Drugo tako kolej też leci bez Strzebin, mijo Koszęcin, i Lubliniec, tak, że już do Poznania bez Niemce żoden jeździć nie musi. A szosa to widziesz jako fajno momy — równiutko jak stół, i to cało szosa asfaltowo. A wiesz przy tej szosie my dość grosza zarobili — bo woziło sie materjoł i pioch, no i ludzi ze wsi dość sporo przy ni robiło. A chałup nowych — co tu teroz momy, — ani sie nie poznosz we wsi. A to wszystko piekne chałupy, murowane — padom ci. Gdy furmanka skręciła na psarską drogę i las już minęli, Franek z wielkim podziwem pyta się starca: Powiedźcie mi ojciec — cóż to tam na prawo za tako piękno i wysoko góra, cało lasem pokryto? — A synku dyć to nasz stary Grójec, na którym bioło panna pokutuje i czeko wybawienia. Ale ty to tam nie znosz. — Mocie prawi, że nie znom tego — odparł starcowi Janek — ale czybyście mi tego nie opowiedzieli? Czy to mo coś wspólnego z legendom? A jużci chłopcze! O Grójcu już nasi przodkowie opowiadali, i opowiadać o nim bendom póki Grojec Grojcem bydzie. No to słuchej. — Prawiom ludzie tak. — — Ale słuchejcie, czekejcie ino że przerwia wom, — przerywa Franek — pociągnymy sie przód po jednym, a wom też bydzie sie napewno lepiej opowiadać. Gdy sie tak gościnnie poczęstowali i zgaszone cygara znowu zapalili — począł starzec opowiadać. Doczkejcie ino niż napoczna o Grójcu opowiadać, to pokoża jeszcze przód coś nowego. Widzicie tam od Bożej Męki napoczyna sie owo szosa, też asfaltowa, która prowadzi przez Berghof, między Łazami i Babinicami na Bornów aż do Poznania fórt. A ruch tu na tej szosie — żebyś wiedział — możesz sie pomyśleć! Bo szosa ta wiąże Śląsk z Poznańskim, tak jak dwie sąsiednie wsi. A jakie znaczenie ona ma, a jako wygoda z niom, — no, to chyba prawić ci nie musza. — No ale wróćmy do Grójca. Tóż słuchejcie! Miało to być tak. Przed setmi latmi Psory były jedne z największych miast Śląska. Dopiero, jak prawiom, Tatary, czy Husyty, albo jak ich tam nazwano, bo to już prawie nie bocza, mie-

li między innymi Psory zawojować, wyniszczyć i wypolić te psiejuchy. A tam baniuk na tem Grójcu, na samem wierzchu mieszko sobie pon z całym swym dworem. Mioł być wcale nie złym panem, a przedewszystkiem mioł być bardzo bogobojnym i pobożnym. Prawie codziennie jeździł w karecie z kobietom swojom do kościoła do Lubszy. A kościół nasz w Lubszy to już stoi bez 600 — lot, musicie wiedzieć i jest tam dużo pamiontek w nim. Zaś dwa razy do tydnia nawet to jeździł szlachcic z kobietom aż do Częstochowy. Frasunków im tam jednak nie brakło. No — bo wiecie mieli oni ino jedna córka i to nie bylejako. Miała być jucha nadzwycajnie mondro i urodno. Ale coś z tego, kej do kościoła z nimi nigdy jechać nie chciała i nie jechała. Co nie leda jaka swoda i hałas wywołać miało. A wiecie dlaczego nie chciała jucha do kościoła z nimi jechać? No — bo zapatrzała się na jednego z pachołków swoich, za kerym też jak sie ino ojcowie ze domu ruszyli, wciąż uganiała. Ojcom zaś, gdy jom do kościoła namawiali, wykrencała sie, że mo dużo roboty, i to sztikowanie, wyszywanie i różnych takich babskich robót. Miało to tak iść dość pora lot. Roz jednak bardzo rozgniewało to szlachciczka. Bo co nie mogła, to nie mogła freli swej namówić do wspólnej jazdy kościelnyj. Oburzona szlachciczka uporem swego dziecka tak sie rozgniewała i rzeknąć miała razu jednego przy wyjeździe te słowa:

(c. d. n.)

CZAJA JÓZEF
Suszec.

Historia figury „pod Maryjką"
w Suszcu pow. Pszczyna

Przechodząc wzdłuż i wszerz śląską krainę, spotykamy wielką ilość kapliczek, figur, rzeźb i krzyży przydrożnych. Mało kiedy jednak zastanawiamy się nad powodem ich wybudowania; mało wiemy o przyczynie ich powstania, a wogóle żadnej wiadomości nie mamy o ich twórcach. Bardzo ciekawą jest nieraz geneza tych na ogół niepozornych kapliczek, czy też figur. Każda prawie kapliczka jest ośrodkiem, na około którego osnuta jest jakaś baśń, legenda, lub podanie. Źródłem skąd możemy czerpać wiadomości dotyczące tych kapliczek są starsi ludzie, którzy nieraz jeszcze pamiętają narodziny kapliczki, lub też z ust swoich przodków znają okoliczności jej wybudowania. A każde opowiadanie sędziwego staruszka rozpoczyna się mniej więcej w ten sposób: „Na pamiątkę, że tam zabił się człowiek" .... albo „W tym miejscu, gdzie dzisiaj stoi figura dawniej straszyło i...".

W podobny sposób rozpoczął opowiadanie jeden ze suzeckich gospodarzy i przedstawił mi w nim przyczynę powstania figury, którą lud okoliczny nazywa „Maryjką". Będzie już temu przeszło 130 lat, mówił gospodarz, kiedy leśniczym w lasach księcia pszczyńskiego był niejaki Jan Lukas. Ten to Lukas jest związany ściśle z historią figury „Maryjka".

Pewnego razu wieczorem wyszedł Lukas do lasu i kroki swe skierował w stronę wsi Kobiora. W międzyczasie nadeszła wielka burza.

STANISŁAW LUBECKI.

Katastrofy kopalniane na Śląsku w niedawnej przeszłości

(ciąg dalszy).

V.

KATASTROFA W CHORZOWIE W PRZEDDZIEŃ PLEBISCYTU.

Minęły lata. Nadeszła historyczna pora wiosenna r. 1921, w czasie której lud śląski przygotowywał się do rozrachunku plebiscytowego ze swym wielowiekowym ciemięzcą. Gorączkowy ruch wyborczy panował wówczas na Śląsku, a zwłaszcza w Chorzowie, wszak w dniu 21. marca lud śląski miał się oświadczyć, że pragnie drogą głosowania wrócić do swej Macierzy — do Polski. W środowiskach pracy, w głębi kopalń, w hutach przy żarach ogniowych i przy innych warsztatach pracy nie opowiadano o niczym innym jak o tej wiekopomnej chwili.

W takiej chwili, smutnej sławy kopalnia „Krug" w Chorzowie, kilkanaście dni przedtem, ponowną, grozą przejmującą katastrofą zatrząść miała opinią Chorzowa i pogrążyć go w żałobie. W dniu bowiem 5 marca 1921 r. postradało życie 11-tu dzielnych górników w kopalni, wskutek zatrucia gazami.

W dniu tym kilkunastu górników, a mianowicie : śp. 1) Bieniek, 2) Widuch, 3) Rak, 4) Skała, 5) Wołczyk, 6) Gogolok, 7) Drynda, 8) Stempor, 9) Zadlok, 10) Żyłka, oraz jeszcze jeden nieznanego nazwiska (niemal wszyscy znani działacze plebiscytowi) — po ukończeniu swej dziennej pracy, otrzymali od swych przełożonych polecenie pozostania na t. zw. w gwarze śląskiej „bajszychcie" (praca w czasie nadgodzin), celem wykonania pilnych robót, które podczas dniówki nie mogły być wykonane, a mianowicie kładzenia szyn, zwożenia stempli dla ochrony stropów i t. p. prac. Górnicy ci pracowali w jednym z tylnych oddziałów, oddalonym o kilka kilometrów od szybu głównego, w kierunku Dębu, w głębokości około 80 metrów. Po ukończeniu wymaganych prac, górnicy zadowoleni z wywiązania się ze swych zadań, zabierali się wszyscy razem do domu. W okolicy głównego przekopu (ganku) — gdzie w czasie dniówki końmi zwożono we wózkach węgiel z całego oddziału w kierunku windy, — znajdowała się tama, zbudowana z drzewa, a oblepiona starannie gliną i wapnem. Była to jedna z licznych tam, którymi zamyka się oddziały kopalniane, nawiedzone gazami trującymi. Otóż właśnie w tym mniejwięcej czasie, gdy górnicy po skończonej pracy, schodzili drabinami 6-tym szybikiem w dół, aby dostać się do głównego przekopu, — naskutek nadmiernego nagromadzenia się gazów nastąpił wyłom w tamie i rozpętane gazy gęstym czadem rozprzestrzeniły się po głównym przekopie i okolicy. Szczególnym zbiegiem okoliczności gazy parły w kierunku VI-tego szybiku, zatruwając nawskroś powietrze. W tej chwili z szybiku tego wychodzili nieszczęśliwi górnicy, aby głównym przekopem udać się pod windę. Po przybyciu do zatrutej strefy, niczego nie przeczuwający górnicy, zaskoczeni nagłym tchnieniem śmierci, — wszyscy kładli się pokotem na ziemię, tracąc natychmiast przytomność.

Mimo, iż w stosunkowo krótkim czasie zaalarmowane zostały oddziały

ratunkowe, które zatamowały przede wszystkim śmiercionośny otwór w przegrodzie i pospieszyły na pomoc do zagrożonego oddziału kopalni, — nie udało się sztuce lekarskiej nieszczęśliwych ofiar swego zawodu wydrzeć z paszczy śmierci. Przez oddanie smutnego sygnału „ciągnąć ludzi" wydobyto ich windą na powierzchnię i zawieziono do szpitala Spółki Brackiej w Chorzowie. Stamtąd też po kilku dniach wielotysięczny orszak pogrzebowy — udał się na cmentarz parafii św. Jadwigi, gdzie ciała dzielnych górników złożono we wspólnej mogile. W pogrzebie wzięła udział również brać górnicza z zagłębia dąbrowskiego z własną orkiestrą na czele. Zarząd kopalni ufundował na grobi poległych piękny nagrobek.

VI.

KOPALNIA ŚCIGANA PRZEZ NIESZCZĘŚLIWE FATUM.

Kopalnia „Hildebrandt" w Nowej Wsi, w pow. katowickim, — przed kilku laty szczególnie bywała ściganą przez nieszczęśliwy los, który każdorazowo wymagał ofiar w ludziach. W kopalni tej bowiem, założonej około roku 1902, z powodu jej znacznej głębokości (600 metrów) i stosunkowo wysokiej temperatury, — walka z ciemnymi mocami przyrody jest szczególnie utrudniona.

Już w r. 1908 w kilka lat po uruchomieniu kopalni, nawiedził ją wielki pożar, który spowodował znaczne szkody materialne. Tylko dzięki okoliczności, że pożar powstał w niedzielę i kopalnia wtenczas nie była w ruchu, — obyło się bez ofiar w ludziach. Dopiero po upływie kilku miesięcy udało się pożar zlokalizować.

Następna katastrofa wydarzyła się tejże kopalni w czasie wojny w roku 1917. Wtedy to na skutek zawalenia się sztolni, zabitych zostało 12-tu górników, przeważnie reklamowanych przez zarząd kopalni z frontu, którzy uszedłszy śmierci lub kalectwa na wojnie, stali się ofiarami swego zawodu.

Straszne nieszczęście nawiedziło kopalnię w dniu 16. sierpnia 1929 r. Katastrofę poprzedził wybuch pyłu węglowego o godz. 7.45 rano na pokładzie „Gerharda" w głębokości 600 metrów. Na skutek wybuchu zapadł się chodnik a oddziały ratunkowe nie mogły wobec tego dojść do miejsca, gdzie znajdowały się ofiary katastrofy. Dopiero po uprzątnięciu rumowisk, co było połączone z wielkim niebezpieczeństwem, bo groziło dalsze zawalenie się chodnika, wyciągnięto 16-tu zabitych i 6-ciu rannych. Siła eksplozji była tak wielka, że blok, ważący 18 cetnarów, odrzucony został na odległość 50 metrów. Akcję ratunkową wszczęto pod kierownictwem dyr. kopalni Józefioka. Na miejscu katastrofy zjawili się przedstawiciele Urzędu Górniczego z Król. Huty, oraz Wyższego Urzędu Górniczego z Katowic. Nazwiska zabitych, wyciągniętych z pod zwałów węgla i kamienia brzmią: Józef Cieślik, Roman Jaszik, Józef Kauf, Ludwik Kciuk, Rudolf Szweda, Ewald Wojtyczka, Władysław Kosełka, Józef Serafin, Jan Kilka, Franciszek Dawidziak, Grzegórz Wieczorek, Emanuel Bieniek, Jerzy Ceglarek, Maksymilian Cebula, ponad to Brunon Bubała i Stefan Daniel.

Na miejscu katastrofy przed kopalnią, wśród nagromadzonej ludności rozgrywały się wprost dantejskie sceny. W odstępach po kilku godzin raz po raz wóz ambulansów odwoził szczątki górnika wydobytych z kopalni do kostnicy szpitalnej, — częstokroć poszarpanych i popalonych.

Wypadek ten tak wstrząsnął opinją publiczną, że zainteresował się nim prokurator i sprawa znalazła się w Sądzie okręgowym w Katowicach, w październiku 1930 r.

W dniu 11 listopada 1929 r. na szybie Hildebrandt runęła do szybu winda, która na skutek uderzenia całą siłą wryła się w dno szybu, oraz pociągnęła

za sobą drugą windę, która spadając po wyciągnięciu jej ponownie w otchłań, zatrzymała się dopiero w połowie szybu. Tylko dzięki okoliczności, że załoga nie była czynną, ofiar w ludziach nie było.

W niedługim czasie po owym wypadku, — bo w dniu 20 marca 1930 r. na skutek zawalenia się stropu zasypanych zostało 4-ch górników; w tym 2-ch zabitych i 2-ch rannych.

Wreszcie w dniu 25 sierpnia 1930 r. mieszkańcy Nowej Wsi i Kochłowic — odczuli około godz. 12-tej w południe gwałtowny wstrząs ziemi, na który jednak nie zwracali zbytniej wagi, gdyż w ostatnim czasie tego rodzaju trzęsienia ziemi zdarzały się dość często. Wstrząs ten jednakowoż był zapowiedzią nieszczęścia kopalnianego, które wydarzyło się w kop. Hildebrandt. Mianowicie w oznaczonym czasie załoga pokładu „Gerharda" usłyszała gwałtowne uderzenie i silny podmuch powietrza, od którego pogasło dużo lamp. Górnicy w panice uciekali w kierunku szybu wyjazdowego. Niedługo jednak potem, dobiegła ich wieść, że cztery sztolnie i dwa filary uległy zapadnięciu na przestrzeni 120-tu metrów. Zawalenie nastąpiło w oddziale IV-tym, w miejscu, gdzie poprzednio częstokroć zdarzały się pojedyncze wypadki nieszczęśliwe, i gdzie w chwili katastrofy pracowało około 280 ludzi, między nimi starsi, doświadczeni górnicy.

Prace ratunkowe również i w tym wypadku były bardzo utrudnione, gdyż na całym obszarze załamało się zabudowanie i w dodatku jeszcze obrywał się w dalszym ciągu strop. Wreszcie oddziały ratunkowe dotarły na miejsce wypadku po przez jeden stary, dawno już nieużywany ganek i wyratowały 9-ciu ciężko rannych górników. Pozostali 6-ciu znajdowali się pod olbrzymimi zwałami kamieni tak, że dopiero po dłuższym czasie udało się ich wydobyć, — niestety wszystkich nieżywych.

Pokład „Gerharda" w kop. Hildebrandt szczególnie jest niekorzystnie położony, gdyż bezpośrednio nad nim mieści się pokład bardzo kruchego piaskowca o grubości od 40 do 50 metrów. O ile więc nastąpi, jakieś małe załamanie się stropu, — kruchy kamień pęka i załamuje się na większych przestrzeniach. Następują wówczas owe groźne i nadto dobrze przez górników znane „młynki", które na skutek olbrzymiego nacisku z góry łamią jak zapałki najlepsze zabezpieczenia drzewne, grzebiąc z ogromnym hukiem pod sobą wszystko. Dzieje się to częstokroć tak nagle, że zagrożeni górnicy nie mają, już czasu schronić się w bezpieczne miejsca i zostają przez spadające zwały kamienne zmiażdżeni, lub co najmniej ciężko pokaleczeni.

Koniec.

WÓJCIK JÓZEF

Zwyczaje związane z Zielonymi Świątkami w okolicy Dąbrówki Wielkiej

W Wielkiej Dąbrówce istnieje ciekawy zwyczaj, związany ze Zielonymi Świętami. Zwyczaj ten, zwany „skodaniem" ma być pamiątką ostatniego wspólnego zebrania się w Wieczerniku apostołów przed ich rozejściem się w świat.

W piątek przed Zielonymi Świątkami zbiera się kilkunastu, (zazwyczaj dwunastu) chłopców, którzy postana-

wiają urządzić sobie składkową ucztę wieczorną. Składka jest różnej wysokości, zależnie od tego, co ma być podawane na przyjęciu. Wynosi ona przeważnie 50 gr. Pieniądze zbiera najstarszy z chłopców, który ma za zadanie zakupić wszystkie rzeczy potrzebne do wieczorku. Wszyscy inni strają się o ozdobienie izby, w której ma się to wszystko odbyć. W sobotę więc idzie paru chłopców do łęgu na tatarak czy lilie wodne i polne kwiatki, które są nieodłączną dekoracją, związaną z Zielonymi Świętami. Wieczorem, tego samego dnia, ozdabiają izbę obficie przyniesionym tatarakiem i kwiatkami. Najstarszy zaś zakupione łakocie daje do przechowania zaufanej osobie, która ma się zająć przyrządzeniem wszystkiego. Czasami rodzice sami dają synom pieniądze na tę uroczystość, przez co wieczorek staje się bardziej wystawnym. Teraz opiszę, co się na stół podaje. Na sam początek podaje się czekoladę gotowaną i ciastka albo kołacz. Potem daje się lemoniadę, która powszechnie u nas nazywa się sinalkiem. Kieliszek po kieliszku chłopcy popijają lemoniadą, naśladując przez to uczty starszych. Później każdy opowiada jakąś bajkę, a gdy ją opowie otrzymuje za to parę cukierków. Kto opowie najlepszą bajkę otrzymuje wartościowy podarunek, n. p. czekoladę lub coś podobnego. Gdy każdy już bajkę powiedział, wtedy na stół podaje się sałatę z ziemniakami i pieczone mięso lub kotlet. Na koniec każdy otrzymuje szklankę gorącej herbaty i bułkę z masłem. Jeżeli z cukierków jeszcze coś zostało to na odchodne każdy dostaje znowu parę cukierków. Tyle co do potraw.

Teraz opiszę jak cała „uroczystość" wygląda, brałem bowiem w niej udział zeszłego roku. W drugie Święto Zesłania Ducha św. każdy wstaje jak najwcześniej z łóżka, niecierpliwie oczekując mającej się odbyć dopiero wieczorem uczty. O umówionej godzinie każdy z chłopców stawia się na podwórzu domu, w którym ma się odbyć podwieczorek. Najpierw wszyscy ustawiają się jakby do raportu, a wówczas wychodzi najstarszy z gromady i zaprasza wszystkich do przygotownej sali. Wszyscy prędko pędzą do pokoju, aby im miejsca nie brakło. Ale jakoś dla wszystkich miejsca starczy, tylko że muszą się bardzo ścieśnić. Teraz dopiero każdemu rozwiązuje się język. Skoro jednak zobaczą, że pierwsze danie się zbliża i że kucharka już coś niesie, zaprzestają gadać i każdy tylko śledzi, komu więcej naleje czekolady do filiżanki. Teraz dopiero wszyscy czują się w swoim żywiole. Kto pierwszy zje, tęn zwykle opowiada coś śmiesznego. Zaczyna więc Zeflik. Posłuchajmy jego opowiadania: „Wiycie co? Jo toch sie niy móg dockać wiecora, a w nocy toch coś trzy razy wstowoł. Patrza na budzik, a tu dopiyro pół drugi, dugoch sie tyż nie szpilcył inoch wzion i budzik o 2 godziny naprzód pocis, boch myśloł, ize to pryndzy rano bydzie. Matka to zawsze wstowajom o pionty, jak budzik zwoni. No i dzisiok budzik zazwoniył 2 godziny pryndzy. Matka wstali i choć bardzo tymu budzikowi nie dowierzali, powiedzieli jak piyńć to piyńć, trza wstać, więc i łogień słozyli, krowy wydoiyli, kawy nawarzyli, a tu na kościele dopiero piyńć zwoni.

Rano jakech wstoł matka sie zacli pytać, chtóry tyn zygor pocis naprzód. Dugoch sie nie szpilcył, ino pedzioł, że to jo. Matka sie ino łośmioli i nic nie pedzieli. Wszyscy obecni na podwieczorku równeż się uśmiali. Wicek to już aże czkawki dostał i musioł ją prędko lemoniadą zapić. W ślad za Wickiem poszli inni i teraz zaczyna się pijatyka na akord. Każdy wychyla kieliszek po kieliszku, zagryza sucharkiem, mrucząc coś pod nosem. Kilku nawet udawało pijanych, śpiewając przy tym piosenkę:

„Germany, germany, coście poro-

biyli, żeście na Górnym Ślonsku ludzi cyganiyli".

Potem zaśpiewali jeszcze jedną piosenkę, której słowa przytoczę:

„Jeden, dwa, trzy, śtyry, piyńć, sześć, siedym, łośym, dziewiyńć i dziesiyńć. — —
Jedenastą godzina, przyniosła nam nowina,
U jednego leśniczego służyła tam Karolina.
Chodziyli tam leśnicy, ale jesce nie wszyscy..."

Gdy tę piosenkę skończyli, zanucili inną:

„Kulało sie kulało jabko po ulicy" ale wszyscy inni nie dali mu dokończyć. Każdy miał opowiedzieć jakąś bajkę. Nagrodę w postaci cukierków dostał Erwin, bo jego bajka najlepiej się podobała. Posłuchajcie więc z uwagą, co za bajkę opowiedział Erwin:

„Roz trzech chłopów miało sie wybrać po piyniądze na smyntorz do kośnicy, chtore to piyniądze miały sie znajdować w trudni. Trudni tam było trzy, a w jednyj ino były piyniądze. Mieli po nie przyś ło godzinie dwanosty w nocy. Jedyn śnich chcioł te piyniądze som se wzióńść i wybroł sie po nie ło jedynosty. Wzion se ze sobom miech, baba pokropiyła go świynconom wodom i tak sie na tyn smyntorz wybroł. Wloz do kośnice bez podrobiony sperchok. Tam łotworzył jedna trudnia, patrzy prozno, drugo, tako samo a dopiyro w trzeci znod te piyniądze. Nabroł pełny miech i przysed do chałupy. Baba jak łobocyła piyniądze zachciało ji sie wiyncy i wygnała chopa drugi ros, wiync chop i drugi ros przynios miech. Baba jednak była niyłodbyto i wygnała chopa trzeci ros. Chop biere te piyniondze, ale w tym słysy jakeś tupanie. Patrzy bez łokiynko, a tam dwuch tompie z miechami. Wtedy wartko łotworzył jedna trudnia i do ni wloz stym miechem, we wtórym były piniondze. Ci dwa zaś wleźli do kośnice, a jedyn śnich pado „wiys ty co, my sie nie bydymy dugo bawić, ino weznymy do dom ta trudnia, chtoro bydzie najciyzso". Dźwigajom jedna, leko — drugo, leko. Idą do trzeci, — ta weznymy, bo jest ciynsko— pedzioł jeden śnich. W ty trudni lezoł, jak wiycie, tyn chop, co go baba wygnała trzeci roz po piyniądze. Więc ten chop, co w ty trudni był struchloł i pomyśłoł se, ize to jus jest jego koniec. Nie straciył jednak przytomności, ino wartko łotworzył trudnia i śnij wyskoczył i gośno zawołoł: „Wstowejcie wszyjscy, coście pomarli, bo bydziecie dwóch żywych ze skóry darli". Ci, co ta trudnia niośli wystraszyli sie, puściyli jom i w nogi. Barzy jesce uciekali, jak łobejżeli, ize za niymi wtoś leci, bo myśleli, izech jeich, jaki umarły goni, to tyz ani niy wiedzieli, jak i kej sie w doma znodli. Rano wcas opowiadajom ło tym trzeciymu, a łon słuchoł jich z uwagom, jakby nic o tym nie wiedzioł. „Dwie dziurki w nosie i skońcyło se". Skońcył Erwin. Wszyscy Erwinowi przyznali pierwszą nagrodę. Teraz każdy chciał odegnać tę myśl o kostnicy, to też wszyscy zajadają smacznie sałatę i mięso.

Na sam koniec jeszcze każdy dostał herbatę, bułkę i parę cukierków, a potem wszyscy rozeszli się do swoich domów.

Dział opiekunów

DR. JAN MONIAK.

Zagadnienia geograficzne w wycieczkach krajoznawczych

Określając krajoznawstwo jako naukę o kraju ojczystym, a raczej zbiór pewnych wiadomości o nim, zaczerpniętych z różnych nauk, trudną jest rzeczą (zwłaszcza o ile chodzi o zagadnienia metodyczne) traktować krajoznawstwo jako całość. W tym wypadku wysuwa się konieczność wyodrębnienia poszczególnych działów, jak geograficznego, historycznego itd.; w zależności więc od poszczególnych przedmiotów, można dopiero opracować metodę pracy krajoznawczej. Możliwe, żę dopiero po dokonaniu tych czynności, skrystalizuje się jakaś odrębna metoda krajoznawstwa.

Jak długo nie mamy za sobą wspomnianego etapu pracy, siłą rzeczy będziemy musieli błądzić po manowcach.

W niniejszym artykule pragnąłbym dać tylko ogólne wskazówki teoretyczne do pracy w tym kierunku.

Jak do każdych wycieczek, tak i do krajoznawczych musi mieć młodzież pewne przygotowanie, by odniosła z nich korzyść.

Przygotowaniem tym będą krótkie 1—2 godzinne przechadzki, podczas których młodzież starsza (gimnazjalna) zapozna się z mapą 1:100.000, zaś uczniowie szkoły powszechnej tylko z formami terenu.

1. Pierwszym celem dłuższych wycieczek będzie poznanie krajobrazu geograficznego w całym znaczeniu tego słowa, t. j. poznanie związków, jakie zachodzą między zjawiskami fizyczno - geograficznymi, biologicznymi i antropo - geograficznymi, jak nawzajem na siebie oddziaływują i jak są od siebie uzależnione. Oczywiście, że w wyniku tych rozważań, będzie działalność człowieka na tle omawianych zjawisk geograficznych.
2. Na podstawie powyżej przeprowadzonej analizy, będzie można dany krajobraz sklasyfikować, t. j. określić ogólnie jego wiek według nomenklatury geomorfologa W. M. Dawisa krajobraz: a) młody, b) dojrzały, c) stary, na podstawie zaobserwowanych, charakterystycznych jego cech.

a) Młody: O silnym spadku rzek z erozją wgłębną i wsteczną, prostym ich biegu, o dnie kamienistym, z wodospadami lub kataraktami, formami śmiałymi i ostrymi ze znaczną wysokością względną, dolinami wąskimi, głębokimi i wysokimi działami wód.

b) Dojrzały: Z meandrującymi rzekami, o dnie płaskim, żwirowym lub piaszczystym, jarami (w krajach płytowych), silną erozją boczną, z formami falistymi, obłymi dolinami, szerokimi, o małym spadku i małymi różnicami wysokości względnych (góry stare), często z bardzo skomplikowaną siecią wód.

c) Stary: Speneplenizowany, o

bardzo wolnym spadku rzek o dnie namulistym ze zjawiskami akumulacji.

3. Od czego jest zależna sieć wodna? (klimat, podłoże, ukształtowanie terenu).
4. Jaka jest zależność fauny od klimatu, ukształtowania terenu i gleby?
5. Na podstawie powyższych rozważań możemy dążyć do osiągnięcia ważnego celu, a mianowicie, wyrobienia t. zw. zmysłu geograficznego, który polegać będzie na umiejętności kojarzenia zjawisk i zrozumienia wzajemnego splotu przyczyn i skutków, składających się na krajobraz geograficzny.
6. Dalszym etapem będzie wydzielanie lub rozpoznanie danej krainy geograficznej t. j. obszaru, mającego wspólne cechy i wyróżniającego się nimi.
7. Przy tym pamiętać należy, by unikać gołosłowności. Dla tego naszą analiza musi być poparta chociażby najprostymi pomiarami, porówniaınami, obliczeniami, sprawdzaniami, szkicami itd. a przede wszystkim mapą topograficzną (w szkole średniej). Tu zasadą winno być: zrobić raczej mniej, ale dokładnie.
8. Wycieczka nie powinna się nigdy odbywać w „nieznane". Wprost przeciwnie, powinna poprzednio być wyznaczona wyraźnie tura i w związku z nią rozdane zagadnienia dla poszczególnych grup uczniowskich.
9. W całej rozciągłości stosuje się zasadę historyczną lokalizacji (użycie mapy), współzależność zjawisk i przyczynowości.
10. O ile chodzi o metodę traktowania poszczególnych zjawisk, jak i całokształtu zagadnień w krajobrazie, to dobrze jest stosować metodę genetyczną w sposób indycyjny, na którą złoży się: a) analiza, pochodząca z sądów jednostkowych, b) wyprowadzenie sądu ogólnego. Oczywiście nie należy przez cały czas wycieczki zamęczać młodzieży analizą zjawisk, ale tylko wyjątkowo przy bardziej interesującym zjawisku.
11. Robienie zbiorów będzie nieodzowną częścią i jedną z realnych korzyści z wycieczki. Na nie składać się będą: a) skały z dokładnym oznaczeniem miejsca i ewent. rejestrem na mapie 1:100.00, b) szkice z okolicą tak planowe jak i perspektywiczne, c) szkice z odkrywek (układ pokładów, nachylenie, jakość i miąższość), d) szkice budownictwa, e) szkice i okazy folkloru, f) notatki, dotyczące narzecza i gwary, g) mapy 1.100.000 z zainwentaryzowanymi najważniejszymi cechami regionalnymi, dotyczącymi krajobrazu geograficznego.
12. Należałoby zwrócić szczególną uwagę na antropocentryczne nastawienie całej wycieczki przez skierowanie zainteresowania uczniów na następujące zagadnienia: a) czy i o ile człowiek zmienia pierwotny krajobraz geograficzny, b) o ile jest zależny od warunków geograficznych wzgl. czy się od nich częściowo chociaż zdołał uniezależnić? c) na czym polega wysiłek człowieka w danym regionie i w czym się koncentruje? d) czy zdołał wszystkie warunki i bogactwa naturalne wykorzystać? O ile nie, to co stoi na przeszkodzie? e) jaka ludność pod względem języka czy też narzecza plemiennego zamieszkuje tenże obszar, jakie są jej właściwości dodatnie względnie ujemne?

Trzeba jednak uprzytomnić sobie, że byłoby niemożliwą rzeczą podczas jednej wycieczki z młodzieżą szkolną zrealizować wszystkie wymienione dezyderaty oraz wszystkie zagadnienia omówić. Dla tego najtrudniejszą rzeczą dla prowadzącego będzie wyeliminowanie mniej ważnych, a omówienie tylko najbardziej znamiennych zjawisk dla danego regionu.

Jakie korzyści odniesie młodzież z wycieczki, w ten sposób obmyślanej, jest rzeczą jasną.

Wydawca: Koło Krajoznawcze Gimnazjum Klasycznego w Chorzowie
za komitet redakcyjny: dr. Jakubowski Józef,
za redakcję odpowiedzialny: dr. Jakubowski Józef
za komitet administracyjny: Kolny Ludwik, Wanat Leon i Morgała Norbert
Odbito w „Drukarni Narodowej" Chorzów I., ul. Krzywa 14 — Telef. 406-62

A WASZEK.

Wykaz podstawowej literatury

dla kierowników pracy krajoznawczej

Celem niniejszego zestawienia jest zorientowanie czytelnika w podstawowej literaturze, dotyczącej krajoznawstwa. Przy czym zaznaczyć należy, że dla orientacji w krajoznawstwie śląskim będą posiadały ogromne znaczenie wydawnictwa Instytutu Śląskiego, oraz Wykaz literatury bieżącej o Śląsku, wydawany przez Komitet Redakcyjny Bibliografii Śląskiej przy Bibliotece Sejmu Śląskiego.

LITERATURA:

1) **Moszyński Kazimierz: Kultura ludowa Słowian. Część I. Kultura materialna**; część II. Kultura duchowa. Kraków. Pol. Akad. Umiejętności.

Układ całości prosty, autor zamierza przedstawić całokształt kultury ludowej Słowian, zaczynając od kultury materialnej, następnie systematyzując kulturę t. zw. duchową i wreszcie społeczną. Autor kładzie przede wszystkim nacisk na zjawiska stare, pierwotne, pomijając szerokie zakresy tradycyj później powstałych.

2) **M. Dynowska: Polska w zwyczaju i obyczaju.** Gebethner i Wolff. — Kraków 1928. str. 437.

Książkę tą można uważać za wypisy etnofraficzne dla kółek krajoznawczych. Omówiono w niej prawie wszystkie zwyczaje i obyczaje ludu polskiego na podstawie dotychczasowych źródeł. Książka nie może jednak być kompletną, nie może wyczerpywać zagadnienia, lecz jest cenną w pracy krajoznawczej, ponieważ orientuje, co już jest znane, a co jeszcze nie znalazło swego konserwatora, co więcej orientuje w tym co jest miejscowe, a co pochodzi z innego regionu.

3) **Zwolakiewicz Henryk: Przewodnik nauczyciela ludoznawcy.** Lublin 1934. str. 128. Skład główny: „Nasza Księgarnia" Sp. Akc. Z. N. P.

Całość podzielona na 2 części, z których pierwsza wprowadza w zagadnienie ludoznawstwa, obejmuje wskazówki metodyczne i bibliografię. Natomiast część druga zawiera kwestionariusze, które mają służyć do systematycznych badań. Po każdym kwestionariuszu umieścił autor literaturę regionu lubelskiego i ogólno-polską.

4) **Praca zbiorowa pod redakcją Romana Lutmana: Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku.** Katowice 1936. — str. 525.

Niezmierna cenna ta publikacja omawia następujące działy: geologię, botanikę, zoologię, geografię, kartografię, antropologię, etnografię, językoznawstwo, piśmiennictwo, prehistorię, historię, historię sztuki, stosunki społeczne i gospodarcze, stosunki prawne i stosunki demograficzne. Poszczególne zagadnienia są zaopatrzone wyczerpującym zestawieniem literatury.

5) **Stieber Zdzisław: Geneza gwar laskich.** Pol. Ak. Um. — Wydawnictwa Śląskie, Prace językowe, Nr. 2, Kraków 1934. str. 30, z mapą.

W niewielkiej rozprawie autor zajmuje się zagadnieniem pochodzenia i pierwotnego charakteru językowego gwar, t. zw. laskich, które stanowią ogniwo przejściowe między obszarem językowym polskim i czeskim, obejmując zachodni pas Śląska Cieszyńskiego, całą nie zniemczoną część Śląska opawskiego, skrawek Moraw koło Freustatu i Stramberga, oraz część przedwojennego Śląska pruskiego na południe od Raciborza i Głupczyc.

(c. d. n.)